

ROZMOWA PRZEPROWADZONA

Z PANEM BOGUSŁAWEM SACHAREM

DNIA 3. GRUDNIA 1988 R. W CHEŁMIE

## I. MOJA MŁODOŚĆ



Urodziłem się 03.03.1925 roku w Łęcznej. Rodzina ojca z dziada pradziada zamieszkiwała w Łęcznej. Matka natomiast była rodowitą chełmianką. Tak się złożyło, iż pomimo swego miejsca urodzenia, wychowywałem się w Chełmie. Miałem trzy siostry. Jedna siostra była starsza ode mnie, a dwie młodsze. Byłem jedynym chłopcem w rodzinie.

Ojciec mój w latach 1918 - 1920 służył w VII Pułku Ułanów Lubelskich. Był ochotnikiem z 1918 roku. Całymi wieczorami opowiadał nam o swoich przeżyciach z okresu wojny bolszewickiej. Był kilkakrotnie ranny. W ostatniej bitwie pod Sierpniowem, zwanej cudem nad Wisłą, w dniu 20. sierpnia 1920 roku, został bardzo ciężko ranny. Mój dziadek otrzymał zawiadomienie o śmierci swego syna. W tych czasach nie było autobusów, więc dziadek furmanką pojechał z Łęcznej do Warszawy na plac bitwy. Wydano mu jakieś porwane szczątki zwłok. Mundur wraz z tymi szczątkami złożył do trumny. Odbył się pogrzeb mego ojca, pochowano go na cmentarzu w Łęcznej. Okazało się, iż dziadek nie pochował właściwych zwłok swego syna. Pomyłka powstała na skutek tego, iż podczas robienia opatrunków sanitariusze

Ściągnęli z ojca mundur, rzucając go na znajdujące się w pobliżu zwłoki. Po dokumentach znajdujących się w mundurze, wyciągnięto mylny wniosek, iż zwłoki te należą do ojca.

Faktycznie ojciec w tym czasie przebywał w szpitalu wojskowym w Częstochowie (został odsunięty dalej od linii frontu). Dopiero po trzech miesiącach był w stanie zawiadomić rodziców, że żyje.

Po zakończeniu wojny w 1920 roku ojciec studiował weterynarię w Warszawie, specjalizując się w dziedzinie koni. Był weterynarzem wojskowym. Teraz już nie ma takich ułanów-zapaleńców, lecz dla ojca liczyły się tylko konie i ułani. W jego dokumentach zachowały mi się do dzisiaj pocztówki, które ojciec przysyłał do rodziny. Na pocztówkach podpisywał się "mąż i ojciec- ułan". Nie uznawał żadnych stopni wojskowych. Napamiątkowej podkowie, którą ojciec podarował matce, dedykacja również jest podpisana przez "ułana". W okresie międzywojennym ojciec służył przy II Pułku Strzelców Konnych w organizacji wojskowej "Krakusy" w Hrubieszowie. Na umundurowanie "Krakusów" składały się: rogatywka, amarantowe otoki, granatowe bluzy, lampasy i granatowe spodnie. "Krakusy" nie były wojskiem, lecz wojskową organizacją. Organizacja "Krakusy" składała się w większości z byłych wojskowych osadników. Miała charakter antybolszewicki. Ojciec działał na terenie sześciu gmin w okolicach Hrubieszowa i Chełma ( Wojsławice, Uchanie, aż po Sokal). Nie pamiętam schematu organizacyjnego "Krakusów". Jako młody chłopak, mając siedem czy osiem lat, często jeździłem z ojcem na ćwiczenia "Krakusów". Stąd tak silnie utkwiły mi w pamięci niektóre obrazy z działalności "Krakusów".

W wyniku odniesionych ran pozostał ojcu trwały ślad

w postaci krótszej ręki i nogi. Pod wpływem opowiadań ojca o jego przeżyciach w wojnie bolszewickiej, niemalże od urodzenia przepojony byłem duchem walki, wojaczki i żołnierki. W domu wzrastałem w atmosferze patriotyzmu. Duch wojaczki zawładnął mną do tego stopnia, iż w ogóle nie chciałem uczęszczać do pierwszej klasy, lecz pragnąłem wstąpić do wojska.

Siedmioklasową szkołę podstawową, zwaną wówczas szkołą powszechną, ukończyłem w 1939 roku. Była to szkoła numer 2 imienia Stanisława Staszica. w Chełmie. Młodość moja była bardzo krótka. W 1939 roku wybuchła II wojna światowa. Wraz z wybuchem wojny, młodość moja skończyła się - automatycznie stałem się dorosłym człowiekiem.

W Chełmie mieszkaliśmy w kilku miejscach. Najpierw mieszkaliśmy na ulicy Kopernika, a później na Kolejowej. Dom przy ulicy Kolejowej został zbombardowany 08.09.1939 roku. Przeprowadziliśmy się na Stephensona do pierwszego budynku koło gmachu. Stąd właśnie poszedłem w świat. Niemcy później przesiedlili rodziców z tych dyrekcyjnych nowych, komfortowych budynków na ulicę Lubelską, a następnie na ulicę Hrubieszowską 3. Na Hrubieszowskiej matka prowadziła przez całą okupację zakład krawiecki, zatrudniając kilka uczennic. Cały czas matka mieszkała w Chełmie.

Ojciec po wejściu do Chełma w 1944 roku Ludowego Wojska Polskiego, wstąpił do Brygady Kawalerii, która stacjonowała przy II Pułku Strzelców Konnych. W Brygadzie Kawalerii służył do końca wojny, a po wojnie przez pewien czas służył w Hrubieszowie. Stamtąd został przydzielony na granicę zachodnią do Gubina. W stopniu podporucznika służył w Lubuskiej Brygadzie WOP Batalion Gubin.

Do powrocie z Anglii nie zastałem rodziców na miejscu. Zatrzymałem się u wujka, skąd napisałem do rodziców list. Zamiast odpowiedzi listownej obydwójce rodzice natychmiast do mnie przyjechali. Matka od wielu już lat w okresie zaduszek dawała ofiary w intencji mojej zmarłej duszy. Rodzice sądzili, że nie żyję. Zaginałem bez śladu, a możliwości napisania listu z tych miejsc, w których przebywałem, nie było.

Wieloletnia rozłąka z rodziną sprawiła, iż podczas pierwszego spotkania matka w ogóle nie poznała mnie. Z wybuchem II wojny światowej swój dom rodzinny opuściłem na osiem lat, zaznając goryczy i okrucieństwa niewoli niemieckiej i sowieckiej, jak również poznając smak upragnionej wojaczki.

.....

## 2. W NIEWOLI NIEMIECKIEJ.

### UCIECZKA Z POMORZA

Do niewoli niemieckiej dostałem się pod koniec września 1939 roku. W niewoli przebywałem do listopada 1939 roku, kiedy to uciekłem znad samej granicy pruskiej.

W Chełmie doszło do starć pomiędzy Rosjanami i Niemcami. Był wrześniowy dzień. Okoliczności tych starć dokładnie nie pamiętam, gdyż zdążyłem już opuścić Chełm. Znajdowałem się wówczas na przejeździe kolejowym - w tym miejscu, gdzie obecnie znajduje się przystanek Chełm-Miasto.

Gdy stałem na przejeździe, zaczęli nadciągać przerażeni ludzie. Biegący od strony Lublina, krzyczęli że zbliżają się Niemcy. Z drugiej strony, od Włodawy, nadciągały czołgi

radzieckie. Poczujęm się zdezorientowany. W tym momencie nadjechał pociąg. Była to zbieranina wagonów osobowych, towarowych, platform. W ostatniej chwili wskoczyłem w biegu na jeden z wagonów. Nie miałem z tym większych trudności, ponieważ przed wojną jako młodzi chłopcy często ćwiczyliśmy wskakiwanie na wagony i zeskakiwanie z nich podczas jazdy pociągu. Przeskakiwałem z wagonu na wagon, usiłując znaleźć kogoś znajomego.

Spotkałem kolegę - mojego byłego drużynowego. Przed wojną należałem do harcerstwa, byłem przybocznym. Funkcje drużynowych pełnili starsi koledzy z Gimnazjum imienia Czarnockiego. Nazwiska spotkanego kolegi w tej chwili nie mogę sobie przypomnieć.

- Co jest? Co się dzieje? - zapytałem.

- Bierz karabin i mundur - poradził mi kolega.

Wagony pełne były broni i umundurowania, ponieważ niektórzy żołnierze przebierali się i uciekali, aby uchronić się od niewoli. Jako młody chłopak, pełen zapału do walki, wyszukałem sobie karabin. Założyłem mundur. Mundur miał nowy fason, przygotowany z myślą o mobilizacji.

Dojechaliśmy do Trawnik. W Trawnikach pociąg zatrzymał się. Okrążyli nas Niemcy. W ten sposób dostałem się do niewoli.

Do niewoli prowadzili nas na piechotę. Większość mostów była pozrywana, niewiele więc pociągów jeździło. Poza tym Niemcy nie przejmowali się jeńcami, nie spieszyło się im. Prowadził nas konwój. Spaliśmy na rynkach w miasteczkach - pod gołym niebem, w deszczu. Obsiadły nas wszy.

Przyprowadzili nas na granicę polsko-pruską do miejscowości Jabłonowo. W Jabłonowie panował duży ruch - tamtędy pędzono wszystkich do Prus Wschodnich.

Rozmawiając z innymi jeńcami, wyrażaliśmy swoje obawy, iż dostanie się do Prus będzie oznaczać dla nas kres wojaczki do końca wojny. Przewidywaliśmy, że w niewoli przesiedzimy do końca wojny. Postanowiliśmy uciekać.

Było nas trzech: plutonowy nadterminowy z Warszawy, ja oraz jeszcze jeden z Chełma. Na nocleg wsadzili nas do olbrzymiej stodoły, murowanej, krytej dachówką - takiej, jakich wiele jest na Pomorzu. Gdy wprowadzali nas do szopy, zrobiliśmy lustrację terenu: zaraz za polem był las z zagajnikiem. Przeczekaliśmy, aż wszyscy usną. Jedna noc nie wystarczała, aby rozebrać mur i zrobić podkop. Zdecydowaliśmy się uciekać przez dach.

Do dachu dostaliśmy się po belkowaniach. Cicho rozebraliśmy kilka rzędów dachówek, scyzorykiem ucięliśmy jedną łatę dachową. Z dachu skakaliśmy z zamkniętymi oczami, jeden po drugim, nie oglądając się za siebie. Skakałem jako trzeci. Skoczyłem koledze na głowę. Nie miał o to do mnie pretensji, ponieważ nie zdążył usunąć się na czas.

Biegliśmy, nadal nie oglądając się za siebie. Po minięciu zagajnika, znaleźliśmy się w lesie. Być może wszczęto za nami pościg, jednak nie zetknęliśmy się z nim. Byliśmy wówczas młodzi i sprawni fizycznie, silni w nogach.

Na tych terenach już na początku listopada Polacy zostali wysiedleni, pozostali tylko Niemcy. Uciekaliśmy wyłącznie nocami. Wsie i miasta omijaliśmy, nie chodziliśmy tam po jedzenie. Wieczorem, gdy zaczynało ściemniać się, podchodziliśmy po jedzenie do kolonistów niemieckich. Mówiliśmy, że jesteśmy zbiegłymi z niewoli jeńcami. Czasami jakiś Niemiec coś burczał pod nosem, ale jedzenie dawał zawsze. Prawdopodobnie obawiał się, że jesteśmy we trójkę, a on sam jeden. Po otrzymaniu jedzenia,

natychmiast oddalaliśmy się z tego miejsca - z obawy przed zawiadomieniem żandarmerii.

Byliśmy już osłabieni, z głodu robiło się nam niedobrze. Było to już w okolicach Działdowa, Rypina i Sierpca. Zobaczyliśmy majątek. Pomyśleliśmy, że oprócz Niemców powinni tam być także Polacy - jakaś obsługa, fornale itp. Mieliśmy nadzieję poratować się dzięki obecności Polaków. Gdy ściemniło się, weszliśmy do kuchni, znajdującej się przy pałacu.

- Niech będzie pochwalony!

- Niech będzie pochwalony! - usłyszeliśmy ku swojej radości odpowiedź kucharek.

Okazało się, że majątek był polski. Dziedzica nie było, lecz była jego córka. Była ona obecna również w czasie naszego wtargnięcia do kuchni. Córka dziedzica natychmiast zaopiekowała się nami. Posadzili nas przy stole, nakroili chleba z masłem, podali kawę z mlekiem. Pamiętam, że w tych okolicach piło się kawę bez cukru. Zaczęto wypytywać się nas o wszystko. Opowiadaliśmy o swoich przeżyciach.

Nagle usłyszeliśmy żołdackie kroki. Obok kuchni była spiżarnia, w której ukryli się obydwaj koledzy. Siedząc przy stole, zajmowałem miejsce najodleglejsze od spiżarni. Nie zdążyłem już skryć się tam. W drzwiach kuchennych zobaczyłem niemiecki patrol.

Z natury swojej jestem opanowany. Również w tej sytuacji próbowałem zachować zimną krew, nie okazać strachu i zderwowania. Z powrotem zająłem miejsce przy stole.

Żołnierze co<sup>ś</sup> wykrzykiwali do mnie po niemiecku, lecz nic z tego nie rozumiałem. Córka dziedzica wyjaśniła im, że jestem pastuchem i pracuję w ich majątku. Niemiec trochę

nie dowierzał, kręcił głową. Miałem na sobie mundur oraz ostrzyżoną głowę, jako pozostałość po niewoli. Niemiec głowę pokręcił, ale odszedł. Dowiedziałem się później, iż moje pozostanie w kuchni, uratowało całą naszą trójkę. Gdybym zdążył ukryć się w spiżarni, na pewno patrol zajrzałby tam i wszyscy trzej zostalibyśmy aresztowani.

Zamierzaliśmy opuścić majątek, lecz dziedziczka zatrzymywała nas:

- Nie ma mowy! Zostaniecie tutaj. Jutro jest niedziela. Gdy kapelan odprawi mszę, zastanowimy się wspólnie, co z wami zrobić, jak was urządzić.

Ugodziliśmy się. Już od wielu dni spaliśmy po lasach. Byliśmy strasznie zawszeni. Sądziliśmy, że połączą nas gdzieś na sianie w stodole. Przygotowano nam jednak łóżka w pałacowych pokojach. Z powodu wszawicy krępowaliśmy się zająć łóżko, Udałem się do drugiego pokoju do kolegi:

- Co robić? Przecież mam wszy!

- Czy wojna jest tylko dla nas? Kładź się, frajerze, do łóżka. Trochę tego z nas zejdzie. Niech i oni spróbują, jaki jest smak wojny.

Tak więc noc przespaliśmy w łóżkach. Następnego dnia w majątku odprawiono mszę. Po mszy dostaliśmy pieniądze i żywność. Najważniejsze, że dali nam cywilne ubrania, w które przebraliśmy się. Dzięki temu mogliśmy już poruszać się nie tylko nocami, lecz i dniami. Dniami wędrowaliśmy do Warszawy trasą przez Działdowo, Rypin i Sierpc.

Nasz kolega z Warszawy obiecywał, że gdy dotrzemy do Warszawy, wszystko załatwi. Doszliśmy do Warszawy. Tymczasem kolega przyprowadził nas do jakiegoś zbombardowanego budynku.



Nawet wówczas trudno było nam ocenić pobudki, jakie nim kierowały. Sądziliśmy, że najprawdopodobniej chce pozbyć się kłopotu. Zamierzaliśmy radzić sobie sami. Przez Warszawę wędrowaliśmy we dwóch. Chcieliśmy dostać się do Chełma.

Przyszliśmy na dworzec kolejowy w Warszawie. W tym czasie było mnóstwo handlarzy, spekulantów. Jeździli oni do Łodzi po materiały i nici. Na dworcu spotkałem jednego z nich, dobrego kolegę mojego ojca. Znajomy szmuglował materiały z Łodzi do Chełma. Zaproponował, że wykupi nam bilet i zapewni żywność w zamian za pomoc przy nielegalnym przewozie towarów. Zgodziliśmy się. Wkrótce znaleźliśmy się w Chełmie.

.....

W domu rodzice wykąpali i odwszawili mnie. Matka leczyła mnie miodem, abym odzyskał siły. Około tygodnia leżałem w łóżku. Długo jednak nie umiałem usiedzieć w domu. Gdy wyszedłem na ulicę, spotkałem kolegów.

Wszyscy byli już przygotowani do walki. Jedni mieli granaty, inni karabiny lub bagnety. Tylko ja nie miałem nic.

- Dla ciebie też coś znajdziemy - zapewnili mnie koledzy.

Wśród moich rówieśników panował duch walki. Nikt z tych młodych chłopców nie myślał o tym, że wojna może skończyć się wkrótce. Wszyscy chcieliśmy walczyć. Liczyła się tylko walka.

Poszliśmy w okolice Borku. W 1939 roku rozbróła się tam cała dywizja. Broń była ukryta w różnych miejscach, najczęściej pod igliwem. Kilku kolegów poszło szukać dla mnie broni. Broń udało mi się jednak samemu znaleźć. Znalazłem ją w stogu siana na polance pod lasem. Z daleka zauważyłem coś białego, wystającego z wierzchołka stogu. Gdy kolega mnie podsadził,

wyciągnąłem owiniętego w chusteczkę zupełnie nowego wisa.

Broń schowałem za pazuchę. Ubezpieczali mnie koledzy, którzy szli za mną drugą stroną ulicy. Złapanie z bronią było w tych czasach bardzo niebezpieczne. "a posiadanie broni zabijano z miejsca. Zabijano nie tylko jedną osobę, lecz całą rodzinę; potrafiąco wystrzelać nawet sto osób.

Wisa ukryłem w domu.

Kręcił się wśród nas dziewiętnastoletni chłopak. Był bezdomny. Jego ojca, bandziora, zastrzeliła policja. Matka jego była Niemką, miała Niemca, a syna wyparła się. Chłopak trzymał z nami, ufaliśmy mu. Sądziłem, iż nie odstąpi od nas. Jednak chłopak wkrótce zaczął sypać.

Jego nazwisko pamiętam, lecz wolałbym nie wymieniać w obawie, iż mógłbym nieznacznie przekręcić. Wielu ludzi w Chełmie nosi podobne nazwiska, a przekręcenie choćby jednej litery może doprowadzić do bardzo nieprzyjemnych konsekwencji dla zupełnie niewinnych ludzi. Kóśniej ten chłopak zginął - wykonali go partyzanci w okolicach Wojsławic.

W lutową niedzielę 1940 roku, gdy wyjrzałem przez okno, zobaczyłem trzech Niemców w czarnych mundurach. Kierowali się prosto do naszych drzwi. Z chodnika do drzwi prowadziło kilka schodków. Nie namyślając się, skoczyłem do kuchni, gdzie za kredensem miałem ukryty pistolet. Schowałem wisa za marynarkę. Przez kuchnię skierowałem się na taras. Ta ucieczka z domu przy ulicy Stephensona kosztowała mnie osiem lat nieobecności.

Poszedłem do kolegi i opowiedziałem, co się wydarzyło. Kolega uważał, iż do domu nie mam po co wracać. Posiadanie broni nie mogło ujsć bezkarnie, tego Niemcy nigdy nie darowali.

W tym czasie w Chełmie szykowało się przerzut ludzi na

Węgry. Grupa miała przewodnika, który kompletował skład. Koledzy poradzili mi porozmawiać z przewodnikiem, aby tym sposobem dostać się do Francji. Właściwie nie miałem wyboru. Przewodnik zgodził się: mogłem dołączyć do grupy.

.....

### 3. PRZERZUT Z CHEŁMA NA WĘGRY

Grupa nasza składała się wraz z przewodnikiem z szesnastu osób. W grupie byłem najmłodszy. Nasza szesnastka była bardzo zróżnicowana. Wśród nas byli ludzie nie tylko z Chełma, lecz z różnych stron Polski. Byli wśród nas podchorążowie, podoficerowie zawodowi, nadterminowi, uciekinierzy ze szpitala wojskowego w Chełmie (w II Okręgowym Szpitalu Wojennym w Chełmie przebywali ranni z różnych stron Polski).

O przewodniku trudno mi coś bliżej powiedzieć. Specjalnie nie chwalił się, kim jest i co robi. To była silna organizacja. Sikorski w szybkim tempie potrafił zorganizować przerzuty za granicę. Przerzuty były sprawnie zorganizowane. W razie wychylenia się kogoś z grupy, groziła śmierć. Przerzuty były jedną z pierwszych form działalności polskiej konspiracji. Koledzy, którym udało się przedostać do Rumunii lub na Węgry, opowiadali, jakie niemalże legendy krążyły w tych krajach o polskich przerzutach. Węgrzy z podziwem wyrażali się o naszej organizacji, co obrazowała węgierska metafora - "Polaka wsadzisz do worka i worek zawiązesz. Obok worka postawisz Węgra. Węgier będzie stał, worek będzie zawiązany, lecz Polaka w worku nie będzie."

Przewodnik już kilka razy prowadził podobne grupy.

Ruszyliśmy w lutową noc 1940 roku. W Polsce nie mieliśmy kłopotów. Trwał ruch uciekinierów. Bez większych problemów dostaliśmy się do Bełżca. W Bełżcu przeszliśmy granicę, która w tym czasie była rosyjsko-niemiecka.

Kilkanaście kilometrów od granicy wszyscy zostali wysiedleni. Utworzono zasieki z drutu kolczastego. Między zasiekami patrolowali rosyjscy strażnicy. W lesie przygotowywali sobie kijki z rozgałęzieniami. Kijkami podpieraliśmy drut, pod którym czołgaliśmy się. Ostatni zabierał te kijki.

„najdowałem się pomiędzy zasiekami, gdy usłyszałem koński tupot. Na koniach zbliżał się patrol rosyjski. Zdążyłem tylko położyć się wzdłuż drutu kolczastego, aby koń mnie nie nadepnął. Kon chrapnął w moim kierunku. Żołnierz jednak niczego nie zauważył, uderzył czymś konia i oddalił się.

Przechodziliśmy etapami. Wszystko było zorganizowane i przygotowane. Swoje punkty mieliśmy na koloniach i w leśniczówkach. Tam zatrzymywaliśmy się na dzień. Szliśmy nocami. W tamtym czasie przejść ten teren było większą sztuką, niż z Pomorza do Chełma. Na każdym kroku byli milicjanci z czerwonymi opaskami - przeważnie Ukraińcy i Żydzi. Dlatego mogliśmy iść tylko nocami. Omijaliśmy miasta i miejscowości. Szliśmy bocznymi drogami i ścieżkami.

Po dwóch tygodniach dotarliśmy na granicę węgierską. Przechodziliśmy w okolicach miasta Słonim. Przed wojną była tam granica węgiersko-polska.

Przewodnik pouczył nas, abyśmy po przejściu granicy zrobili szum. Chodziło o to, aby zatrzymała nas straż graniczna. Straż odsyłała bezpośrednio do obozu internowanych, a stamtąd dalej uciekinierami zajmowały się ambasady i inne organizacje.

Gdybyśmy nie dostali się od razu do obozu internowanych, w głębi Węgier zatrzymywała policja. Po zatrzymaniu przez policję, w trybie prawnym zasądzano wyroki. Wyroki nie były wysokie - dwa tygodnie lub miesiąc - lecz trzeba było je odsiedzieć. Dopiero po odbyciu wyroku kierowano do obozu internowanych. Z tego względu korzystniej było, abyśmy od razu na granicy zostali skierowani do obozu internowanych.

Przewodnik pomylił się. Zawsze liczył zasieki drutów. Jednak od czasu jego ostatniej przeprawy Rosjanie dobudowali jeszcze dwa rzędy zasieków. Po przejściu chyba piątego rzędu zasieków przewodnik wstał pierwszy i powiedział:

- Jesteśmy na granicy węgierskiej. Wstaniecie i róbcie szum!

Wszyscy wstaliśmy. Zaczęliśmy śmiać się i hałasować. Po chwilach napięcia zapanowało radosne odprężenie.

W tym momencie skierowano w nas serię z cekaemu Maxym. Do samego rana trzymano nas pod ogniem karabinów maszynowych. Do rana przeleżeliśmy bez jakiegokolwiek ruchu nosem do ziemi.

Przewodnik dostał pierwszą serią. Został postrzelony na wylot w odległości dwóch centymetrów od kręgosłupa. Nie miał założonego żadnego opatrunku ani tam na miejscu, ani później w więzieniu. Sami zrobiliśmy mu opatrunek z brudnych koszul. Później z tych ran wydłubywał sobie wszy. Wyszedł z tego i przeżył. Służył nawet później w wojsku. Nie był ze mną w jednym pułku, rzadko więc go widywałem.

Rano rzucił się na nas chyba cały pułk. Rosjanie mieli granaty na drążkach, takie jak Niemcy. Dostałem granatem w nerki. Wyrzuciło mnie do góry na wysokość około dwóch metrów.

Rozległ się rozkaz:

- Ręce do góry!

Sowieci długo trzymali nas na mrozie, zanim pozakatwiali wszystkie formalności. Było nas zaledwie szesnastu więźniów, na których przypadało aż sześćdziesięciu konwojujących Rosjan. W każdego z nas wycelowane były przynajmniej po trzy sowieckie bagnety. Dodatkowo Rosjanie ubezpieczali się pistoletami i granatami. Patrząc na to z kilkudziesięcioletniej perspektywy, wydaje mi się to dzisiaj po prostu śmieszne i żenujące. U nas w czasie wojny Polak po prostu wstydziliby się prowadzić dwudziestu Niemców nawet we czwórkę. Dwudziestu jeńców konwojowało najczęściej tylko dwóch żołnierzy, do dziesięciu jeńców wystarczył jeden tylko żołnierz.

Do Lwowa jechaliśmy pociągiem.

Rosjanie prowadzili nas bardzo demonstracyjnie. Z dworca głównego we Lwowie prowadzono nas w biały dzień, środkiem ulicy, pod sztychami bagnetów. Odnosiliśmy wrażenie, iż w ten sposób zamierzają postraszyć lwowian. Konwojowano nas do Brygidek na ulicy Kazimierzowskiej. W więzieniu w Brygidkach przeprowadzano śledztwo.

.....

#### 4. LWÓW

Nasz pobyt we Lwowie zdecydowanie nie zasługuje na określenie mianem życia. Przy takim życiu, jakie tam mieliśmy, nawet pies bardzo szybko zdechłby.

Przed wojną siedziało tam w jednej celi czterech przestępców. Teraz w celi było nas sześćdziesięciu. Spaliśmy na podłodze bez siennika i łóżka. Na podłodze nie wystarczało miejsc leżących dla wszystkich. Spało się na jednym boku.

W celi dokonywaliśmy selekcji tych, którzy mają zająć

stojące miejsce przy drzwiach. Zwykle przypadają one jakimś milicjantom, którzy przypadkowo znaleźli się wśród nas.

W celi panował potworny zaduch. Jako piętnastoletni chłopak, cieszyłem się pewnymi względami. Wśród więźniów było wielu poważanych ludzi. Tak zwanym starostą celi był pan Rakowski - energiczny człowiek, nawet po twarzy uderzył, jeśli jakiś więzień nie chciał podporządkować się. Najduszniej było w głębi celi, gdzie zbierało się najwięcej wyziewów. Rakowski umieścił mnie pod oknem, aby było mi łatwiej oddychać. Obok mnie położył niejakiego pana Mielezko. Mielezko był lwowskim mieszczaninem, znanym wśród lwowian. Posiadał we Lwowie sieć sklepów masarskich. Był już siwy, w podeszłym wieku. Mielezko miał coś z płucami, chyba chorował na gruźlicę. Właściwie był już na wykończeniu. Mielezko znajdował się w stanie agonii. Patrząc na tego cierpiącego człowieka, wzbierała w nas litość. Stan jego zdrowia jednak nie przeszkadzał NKWD-dzistom trzymać go pod kluczem i traktować równie nieludzko, jak zdrowych więźniów. Nie wiem, co stało się z nim później. Myślę, że raczej pozostał we Lwowie, chyba już nigdzie nie zdążyli go wysłać.

Do jedzenia dostawaliśmy bochenek chleba na sześciu i zupę na szczawiu lub jakiejś trawie. Głód był niesamowity. Niektórzy z głodu wrywali sobie złote zęby, aby zdobyć za to kawałek chleba.

Zostaliśmy bezwzględnie odizolowani od świata. Nie było ani listów, ani odwiedzin, ani gazety czy radia, żadnych wiadomości i kontaktów. NKWD-dziści zachowywali się z ogromnym dystansem. W ogóle nie odzywali się do nas. Zapytany przez nas, od razu zaczął rozglądać się na wszystkie strony: widoczny był jego strach.

Trzymali nas pod sztychem. Prowadząc mnie na przesłuchanie,

kiedy z przesłuchania wychodzili inni więźniowie, stawiali twarzą do ściany. Zanim nie przeszedł więzień powracający ze śledztwa, nie wolno było odwrócić się od ściany.

Nie mogło być żadnych kontaktów. W ogóle nie było spacerów.

Więzienie było tak mocno pilnowane, iż jest wprost nie do pomyślenia, aby ktokolwiek zdołał wyrwać się stamtąd. Chyba jedyny wypadek ucieczki stanowił Zielenkiewicz. Do jego ucieczki doszło podczas prowadzenia nas do łaźni - wówczas odłączył się od nas. Złapali go oczywiście jeszcze tego samego dnia na mieście.

Śledztwa w Brygidkach były aż do uprzykrzenia. Nocą drzwi praktycznie nie zamykały się. Śledztwo w Brygidkach było bardzo uciążliwe. Nigdy nie przesłuchiwanó w dzień, lecz przesłuchanie przeprowadzano zawsze nocą. Gdy otwierały się drzwi, nigdy nie było tak, aby budzono konkretnego więźnia i wywoływano go z celi. Zawsze budzono wszystkich. Po otwarciu drzwi stawiano przykładowo pytanie:

- Kto jest na literę "S" ?

Więźniowie po kolei wymieniali wszystkie nazwiska na tę literę: Sokołowski, Sosnowski itd. Dopiero, gdy trafił się właściwy więzień, po ustaleniu imienia ojca i innych danych personalnych, zabierano go na śledztwo. W ciągu jednej nocy powtarzało się to kilkakrotnie. Przesłuchania trwały całą noc; w nocy już nie było dla nas spania.

Nie znałem rosyjskiego. A oni z kolei nie umieli czy nie chcieli mówić po polsku. Kręciłem, jak potrafiłem. Z powodu nieznamo<sup>s</sup>ci języka, w którym byłem przesłuchiwany,



dochodziło do absurdalnych nieporozumień:

- Rebionki imiejesz? - pytano mnie.

Co to "Rebionka"? Pomyślałem, że żrebak.

- Nie, nie mam żrebaków - odpowiedziałem. Zupełnie ich nie rozumiałem, nie wiedziałem, o co pytają.

Nie miałem żadnego doświadczenia, nie wiedziałem, jak odpowiadać. Starsi koledzy już dawno mieli zakończone śledztwo. Tylko mnie nadal stale wołano. Koledzy w końcu zapytali:

- Dlaczego tak ciągle cię wołają? Chyba za dużo kręcisz?

Zdażyli oni już rozszyfrować zwyczaje NKWD. Wystarczyło trzy razy powiedzieć identycznie, aby dali spokój. Starsi koledzy poradzili mi:

- Zapamiętaj sobie, aby na śledztwie powiedzieć jednakowo jedną i tę samą sprawę. Dopiero wtedy zostawią cię w spokoju.

W końcu powiedziałem trzy razy jednakowo. Wówczas zakończono śledztwo dla całej naszej grupy. Po zakończeniu śledztwa nie było żadnej rozprawy sądowej.

Z Brygidek zostaliśmy przetrzuceni do więzienia wojskowego na ulicy Janowskiej. W więzieniu na Janowskiej byliśmy krótko. Tam szykowano jedynie transport do Starobielska.

.....

## 5. STAROBIELSK

Po zorganizowaniu transportu do Starobielska, zostaliśmy załadowani do wagonów towarowych. Granicę przekraczaliśmy z niemałym dreszczem. We Lwowie mieliśmy wrażenie, iż jesteśmy

u siebie. Gdy przejechaliśmy przez Szepetówkę, zrozumieliśmy że to już terytorium sowieckie - wiedzieliśmy, że to koniec.

Ze Lwowa do Starobielska przetransportowano dosyć dużą grupę, liczącą około tysiąca więźniów.

Do Starobielska jechaliśmy pociągiem. Po obu stronach wagonu znajdowały się prycze. Środek był wolny. Z wagonów nie wychodziło się. Ubikację stanowił otwór o średnicy piętnastu centymetrów.

Podczas podróży w ogóle nie było normalnego wyżywienia. Jedzenie dali lub nie dali. Gdy upominaliśmy się o zaległe jedzenie, odpowiadali:

- Na co ci zaległe jedzenie? Przecież żyjesz i przeżyjesz bez tego jedzenia!

Często przez dwa - trzy dni nie dawali jeść. Czasami odstawiali nas na boczne tory, gdzie staliśmy dzień lub dwa. Dokładnie nie pamiętam, jak długo trwała podróż ze Lwowa do Starobielska. Jechaliśmy około kilku dni. Było chyba wczesne lato.

Wyładowano nas z transportu. Kolumną szliśmy pod konwojem. Strasznie nas obstawili. Konwoju była masa. Każdy miał przy plecach po dwa - trzy bagnety.

Naprzeciw nas wyszedł pochód z transparentami i czerwonymi flagami. Śpiewali piosenkę - "Północ - wsi atamany, północ - polskie pany". Baliśmy się bardzo tego tłumy, kroczącego na wprost nas. Prowadzeni przez zbrojny konwój czuliśmy się zagrożeni. Gdy jednak pochód doszedł do nas, rozstąpił się. Do bramy obozu w Starobielsku doszliśmy szpalerem. Tam nas rozlokowali.

Więźniowie w Starobielsku stanowili ten sam gatunek

ludzi jak nasz transport. Bardzo wielu było urzędników państwowych, kilku księży, sporo arystokracji (Małachowski, Potocki, Radziwiłł i inni).

Spotkałem młodego Małachowskiego, z którym rozmawiałem po przyjacielsku. Jego majątek składał się z pięćset folwarków. Nie potrafił nawet sznurować butów. Przyzwyczajony był, aby najbardziej podstawowe czynności wykonywał za niego lokaj.

Księża byli pobici. Spałem z księdzem obok na jednej pryczy: był bardzo silnie pobity i pokrwawiony. Był do tego stopnia wystraszony, iż nawet do nas bał się odzywać.

Specjalnie wystraszeni nie byliśmy. Tkwiła w nas mocno wiara w siebie. Aż dziwię się dzisiaj, że tak uparcie wierzyliśmy, że jeszcze do czegoś dojdziemy, że będziemy walczyć. Doprawdy, nie wiem, skąd czerpaliśmy tę wiarę.

Z grupy szesnastu wszyscy trafiliśmy do Starobielska. W Starobielsku zostaliśmy porzrzućani po różnych blokach. Sowieci bardzo przestrzegali, aby rozdzielać kolegów. Było to oczywiste, iż wspólni znajomi najszybciej porozumieją się w sprawie ucieczki i w innych kwestiach, aniżeli zupełnie obcy sobie dotychczas ludzie.

Trafiłem do bloku numer pięć. To była kaplica. W tej kapliczce przebywałem około dwóch - trzech tygodni. Przez ten czas w dalszym ciągu kontynuowano śledztwo. Po zakończeniu śledztwa z kapliczki przerzućono nas do cerkwi, która była głównym budynkiem, właściwym obozem. Później siedziałem w bloku numer osiem. Był to barak znajdujący się wzdłuż ogrodzenia.

Ogrodzenia obozu w Starobielsku dobrze nie pamiętam. Nie miałem okazji przyjrzeć się całemu obozowi. Nie było spacerów, nigdzie nas nie wypuszczano. Podczas przerzutów przeprowadzali

nas tylko z baraku do baraku. Wiem, że była brama. Na wprost bramy znajdowała się cerkiew, a na lewo kaplica oraz ósmy blok. Obok stały murowane budynki administracyjne, w których mieściły się służby NKWD-owskie. Myślę, iż ogrodzenie było z drutu kolczastego.

W cerkwi siedziało około kilkunastu tysięcy więźniów. Cała cerkiew była zabudowana rusztowaniami, na których ułożono prycze. Prycze były właściwie takimi pokładami ze zwykłych nieheblowanych desek, z których robi się rusztowania. Takim rusztowaniem było zadeskowane do samego sufitu. Po dwóch piętrach prycz następował pokład. Pokład stanowiły zwykłe pojedyncze deski - nie był to więc strop. Ponieważ byłem młody, wepchnięto mnie na samą górę. Starszym ciężko było wspinać się po drabinach.

Do jedzenia dostawaliśmy okrągły bochenek chleba na sześciu i zupę. Zupę robiono z byle jakiego zielska, trawy. Śmieliśmy się, że koszą trawniki i z tego gotują zupę. Po zjedzeniu całej porcji zupy, na dnie zawsze zostawało z pół łyżki mułu. Właściwie trudno jest określić to zupą - była to prawie sama woda z domieszką jakiegoś zielska. Tragicznie było. Gdy wstałem, z głodu nie miałem siły iść. Przed oczami miałem gwiazdki, kręciło się w głowie. Trzeba było przytrzymać się pryczy, aby nie upaść. Dopiero po chwili rozchodziło się to i można było iść.

Jedzenie gotowali w kotle. Kociąg obsługa przynosiła z kuchni do bloków. Obsługę stanowili kryminaliści, których Sowieci uważali za swoich ludzi. Miski i łyżki mieliśmy z drewna. Miski były toczone i nawet bardzo ładnie polakierowane. Miski były różnych rozmiarów i często z tego powodu dochodziło wśród więźniów do sporów. Każdy chciał mieć większą

miskę. Jeżeli jedzenia w kotle było dużo, a ktoś miał większą miskę, można było liczyć na dokładkę. Na dokładkę, nazywaną przez nas dobawką, dostawało się najwyżej z pół chochli zupy. Na niektórych głodomorów, którym miska zupy nie wystarczała, aż strach było patrzeć. Często przynosili kocioł, na dnie którego zostało ze dwa litry zupy i krzyczeli "dobawka". Wszyscy rzucali się do kotła, dosłownie wchodziłi do niego głowami. Dokładki oczywiście nikt nie dostał. Myślę, że obsługa chyba w ten sposób robiła sobie żarty, bawiła się widokiem zamożnych więźniów. Do kotła nigdy osobiście nie skakałem.

Więźniowie byli różnych narodowości. Byli Rosjanie, Ukraińcy, Polacy i inni.

Z cerkwi nie wychodziliśmy nigdzie: ani na spacer, ani do roboty. Cerkiew niekiedy opuszczaliśmy wyłącznie na przesłuchanie.

Przy wejściu stała dębowa beczka o pojemności około kilku tysięcy litrów. Takie beczki stosuje się w winiarniach do produkcji win. W Starobielsku beczka służyła do składywania fekalii. Prawdopodobnie była w niej zainstalowana jakaś rura, poprzez którą odchody usuwano na zewnątrz beczki.

W Starobielsku nie mieliśmy co robić, czym się zająć. Przyjęte było, iż codziennie każdy po kolei musiał wygłosić wykład - obojętne, czy był to pułkownik, profesor, lekarz, listonosz, pastuch, łobuz czy grandziarz. Nikt nie mógł wykręcić się od tego. Każdy mówił o sprawach, które interesowały go najbardziej, wypowiadał swoje poglądy na określony temat. Mówiło się o tym bez cenzury. Na skutek tych wykładów wywiązywały się burzliwe dyskusje. Szczególnie częste były nasze dyskusje z Ukraińcami. Raczej byliśmy

pogodzeni z losem; swoje racje oraz żale wypowiadaliśmy na spokojnie, bez emocji. Między Polakami i Ukraińcami w Starobielsku nie było wrogiego stosunku.

Radzieży nie było.

W Brygidkach i Starobielsku natychmiast znajdowali się ludzie szlachetni, lecz mocni w pięści. Oni wszystko trzymali w garści. Często dochodziło do bójek, które przywracały pewnych więźniów do porządku. Za donosicielstwo dawano taki wycisk, iż chyba do końca życia zaprzestawali swego zajęcia. Kto chciał narzucić swoją wolę, próbował udawać ważnego, także musiał od tego odstąpić. Pamiętam nazwiska tych szlachetnych o mocnej pięści. Należeli do nich we Lwowie Rakowski, Zielenkiewicz z Warszawy. Zielenkiewicz później był razem ze mną w Starobielsku. To był bardzo odważny chłopak, ten sam, który próbował wspomnianej ucieczki z Brygidek.

Pamiętam Ukraińca, który stawiał się mocno, narucał innym swoją wolę. Ukraińiec był potężny, silny. Interweniował Zielenkiewicz, który był niski, krępy, ale sprytny. Aż śmiesznie było patrzeć, jak taki mały porywa się na takiego kolosa. Jednak Zielenkiewicz szybko poradził sobie z Ukraińcem. Na skutek tego, Ukraińiec natychmiast ucichł, spotulniał i dla wszystkich stał się bardzo grzeczny. Więcej nie było z nim żadnych kłopotów. Na ogół do porządku przywracało się deską z prycz.

W piątym bloku zaprzyjaźniłem się z marynarzem ze służby czynnej. Gdy przyszedłem do baraku, znalazłem w pryczach kawał blachy wyostrzonej jak nóż. Rozpoznali wśród więźniów milicjanta, który - gdy przyszli Sowieci - założył czerwoną opaskę. Marynarz był zapalczywy i porywczy. Zwrócił się do mnie:

- Daj ten nóż! Pójdę go zarżnąć.

Noża mu nie dałem. Bałem się nie o milicjanta, lecz o przyjaciela-marynarza. Obawiałem się, że miałby spore kłopoty, mogliby go nawet wykończyć. Marynarz gniewał się na mnie przez kilka dni, ale później minęła mu złość. Mój przyjaciel osobiście nie miał nic do milicjanta. Odrazę wywoływał w nim sam fakt założenia przez milicjanta czerwonej opaski. Ci z czerwonymi opaskami zapewne przysłużyli się niejednemu. Dzięki nim wielu ludzi wysłano nad Peczorę czy gdzieś w okolice Kazachstanu.

"Prowierki", apele odbywały się obowiązkowo dwa razy dziennie. Częste były rewizje osobiste, podczas których zabierano absolutnie wszystkie podejrzane przedmioty, typu: igły, szpilki itd.

Prawdziwej igły nikt nie miał. Obdarzony manualnymi zręcznościami, musiałem kombinować. Igły robiłem ze znalezionej kawałka drutu. Otwór w drucie wyciąłem szkiełkiem, które znalazłem przy innej okazji. Właśnie taką igłą cerowałem więźniom podarte na pryczach i deskach ubrania. Ubrania wszyscy mieli podarte. Za cerowanie czasami ktoś mi przynosił kawałek chleba.

Z sądu nad nami robionego przez Rosjan w Starobielsku uśmiełby się nawet koł! We Lwowie przeprowadzono śledztwo, zapewne akta spraw przyszły za nami do Starobielska. W jednym dniu osadzono kilkanaście tysięcy osób! Brali nas grupami. Tej nocy, gdy mnie sądzono, byłem w cerkwi. Na sąd do naszej grupy szesnastu dołączono jeszcze innych więźniów.

Wtedy przyprowadzili nas na sąd, kazali nam podpisać jakieś papiery. Nic z tego nie rozumiałem, cały byłem w strachu.

Starszy kolega poradził mi podpisać, aby mieć spokój. Rosjanin ponaglał, aby szybciej podpisywać. Tak właśnie wyglądał nasz sąd w Starobielsku. W ten sposób w ciągu jednego dnia osądzono kilkanaście tysięcy więźniów.

Po tym sądzie przerzucono mnie do ósmego bloku. W baraku byliśmy krótko, może tydzień lub dwa.

Tuż przed wyjazdem odbyła się gruntowna rewizja. Rozebrali nas do naga. Zrzucone przez nas ubrania, Sowieci "wyprali do sucha" - sprawdzali dokładnie, czy nie ma czegoś ukrytego w ubraniach. Sprawdzali poszczególne części ciała: zaglądali do ust, uszu, a nawet odbytu.

Z mundurów nożem usuwano haftki, tzw. koniki. Przy spodniach nożem odcinano sprzążki (przedwojenne spodnie były szyte na ściągacze z tyłu, przy których znajdowały się metalowe sprzążki). Obcęgami ściągano podkówki i żabki z butów. Usuwano absolutnie wszystkie metalowe, papierowe i gumowe części. W podobny sposób odprawiano więźniów na wyprawy katyńskie.

Tak zrewidowani, ustawialiśmy się w kolejce do wyższego rangą NKWD-owca. Przed jego oblicze podchodziliśmy pojedynczo. Był to komendant, który miał nas wieźć. Pytał o nasze dane personalne: imię i nazwisko, rok urodzenia. Miał ze sobą nasze akta.

Za nim leżały jakieś łachmany, porwane chodaki. Były to szmaty, jakich u nas nie spotyka się nawet na śmietnikach. Jeżeli ktoś był słabo ubrany, rzucał mu jakąś fufajkę czy porwane chodaki. Byłem zupełnie na letniaka, miałem na sobie koszulę i marynarkę. Doledzy pocieszali mnie, że na pewno dostanę jakieś przyodzienie. Kiedy przyszła moja kolej, po sprawdzeniu danych personalnych, najwyraźniej nie spodobałem



się mu. Żadnego ubrania mi nie dał. Zamiast tego , kazał mi wynosić się. Nazwał mnie "piłsudczykiem".

Trudno powiedzieć, co było przyczyną nazwania mnie przez NKWD-owca piłsudczykiem. Być może powodem było odnotowanie w aktach faktu służby wojskowej mojego ojca. Wówczas jednak sądziłem, iż to wygląd moich włosów nasuwa NKWD-owcowi skojarzenie mojej osoby z Piłsudskim. Po ostrzyżeniu włosów, na głowie zrobił mi się stojący "jeżyk". Cokolwiek byłoby tego przyczyną, w niczym nie zmienia to faktu, iż nie dostałem żadnego ubrania. Jako piętnastoletni chłopak, miałem pojechać zupełnie nie przygotowany na wielkie północne mrozy.

.....

## 6. UCHTA

Po tej odprawie załadowano nas do wagonów.

Po obu stronach wagonu znajdowały się prycze. Otwór na odchody był obity blachą. Było to zabezpieczenie na ewentualność, gdyby ktoś próbował rozgryźć go zębami i przez niego wydostać się z wagonu. Wagonu nie opuszczaliśmy w ogóle.

Jechaliśmy ponad miesiąc. Ze Starobielska, położonego na południu, wyjechaliśmy późną jesienią. Był to okres kopania ziemniaków. Wieźli nas na Moskwę, a z Moskwy na Kotłas. Nie pamiętam, na jakiej stacji nas wysadzili. W okolicach Moskwy zaczynały się śniegi. Po przybyciu na północ był chyba środek zimy, zima musiała tam trwać od kilku już miesięcy.

Podróż była ciężka. W wagonie był piecyk żeliwny, tzw. koza, otwór rury wychodził przez dach. Jednak węgla do pieca nie otrzymaliśmy ani razu. Przed zamarzeniem ratowaliśmy

się na własną rękę. Gdy mocno zmarzliśmy, paliliśmy w piecyku deskami z prycz. Ognia jednak nie podtrzymywaliśmy na stałe, gdyż już pierwszego lub drugiego dnia zabrakłoby desek. Prycze zbite były z grubych dwucalowych desek.

Nie mając siekiery, musieliśmy wymyślić własny sposób na porąbanie desek. W deskach, które są cięte w tartaku, niektóre słoje przebiegają skośnie. W takich deskach wojskowym butem odbijaliśmy klin. Następnie szukaliśmy pęknięcia w desce. W miejscu pęknięcia wkładaliśmy klin, który zabijaliśmy butem, tak jak młotkiem. W wyniku tego stukania, rozdrabnialiśmy deski na takie łaty. Łaty opieraliśmy o coś i nogą łamaliśmy na odpowiednie kawałeczki.

Po przybyciu na miejsce, nie została nawet jedna deska z pryczy. Gdy Sowieci spostrzegli brak prycz, rozkazali abysmy oddali siekierę. Zrobili rewizję. Wydawało się im niemożliwą rzeczą, abysmy porąbali prycze nie mając siekiery. Sekretu swojego jednak nie wyjawiliśmy.

Najtragiczniejszy podczas podróży był głód. Już przedtem byliśmy silnie zagłodzeni, a teraz nie dostawaliśmy jedzenia po pięć dni. Jedzenie podawali nam w sposób zbliżony do tego, jak podaje się lwom w ogrodzie zoologicznym. Obstawiali wagon, a ten najodważniejszy, który wstawiał nam wiadro z jedzeniem, natychmiast wycofywał się i szybko uciekał do swoich.

Do jedzenia dostawaliśmy wyłącznie chleb i śledzie. Chleb był zamarznięty jak lód. Do chleba dodawali wodę i ziemniaki, nie dopiekali go, dlatego zamarzał. Śledzie to były takie "ciulki", wielkości czterech - pięciu centymetrów, strasznie zgnojone.

Zupy i wody nie dostawaliśmy w ogóle. Po tych śledziach byliśmy ogromnie spragnieni piciem. Wodę zastępował nam

Śnieg.

W wagonie był wypadek, że więzień podczas postoju pociągu wystawił przez drutowane okienko rękę, aby ściągnąć z dachu garść śniegu. Wtedy Rosjanin przebił mu rękę bagnetem. Od tej pory ręce po śnieg wyciągaliśmy tylko podczas jazdy pociągu, kiedy bagnet nie mógł nas dosięgnąć.

Po przybyciu na miejsce, wyładowano nas z wagonów i załadowano na samochody. Jechaliśmy na niskiej burcie samochodu, zrobionej tylko z dwóch desek. Nabili nas tam niczym ślepci do beczki. Na podłodze jeden siedział obok drugiego, trzymając nogi w rozkroku. Nikt nie mógł wykonać jakiegokolwiek ruchu. W każdym narożniku siedział uzbrojony NKWD-dzista. Pomimo lekkiego ubrania, dzięki temu, że siedziałem na środku samochodu, nie zamarzęłem doszczętnie. Ściągnąłem marynarkę i założyłem ją na głowę.

Jazda samochodem trwała długo. Odległość, jaką pokonaliśmy, była mierzona w setkach kilometrów. Gdy przyjechaliśmy pod łagier, wszyscy byli sztywni, nie mieli siły zejść z samochodu.

Na miejscu wyszedł do nas zaspany żołnierz, który nazwał nas warszawiakami. W pamięci utkwiło mi jego przywitanie:

- No, warszawiacy! Tutaj będziecie żyć, a nie zechcecie!

Łagier był strasznie obskórny. Jego nazwa na pieczęci brzmiała: Uchta Czemia Isprawitelno-Trudowyje Łagieria. Przebywałem w czwartym podobozie (IV Łag-punkt),

Później dowiedziałem się od AK-owców z Wileńszczyzny, którzy siedzieli w drugim rzucie, iż łagry te zrównali z ziemią, zatarto po nich ślad.

Ogrodzenie było palisadowe. Jeden słup był wkopany obok drugiego, tworząc palisadę. Palisada słupów wyglądała jak współczesne słupy energetyczne. Na każdym rogu znajdowała się wieżyczka na cekaem. Pomimo mrozów, zawsze ktoś siedział na tych posterunkach.

Baraki były kilkudziesięciometrowe, zbudowane z okrągłaków, nie tynkowane. Wszystko było zrobione z okrągłaków - podłoga, drzwi i okna. Małe okienko znajdowało się na środku baraku. To było bardzo nieszczelne. W środku baraku byłó ponuro.

Za piec służyła beczka, położona bokiem. Rura pieca wychodziła przez dach. Do pieca wkładało się drewno metrowej długości. Wokół pieca było nawet ciepło, lecz już w dwumetrowej odległości od niego był taki sam mróz, jak na dworze. Do pieca trudno było przedostać się. Przesiadawali tam zwykle ludzie starsi i chorzy. Osobiście nigdy nie udało mi się być blisko pieca.

Aby mniej wiało, dziury utykaliśmy mchem przynoszonym z lasu.

Spaliśmy na gołych pryczach. Sienników nie było. Nie dostaliśmy nawet misek i łyżek.

Podczas pierwszego posiłku zwróciliśmy się do naczelnika, aby dał nam jakieś miski. Naczelnik poradził nam, aby zupę brać w czapki. Zamiast misek zrobiliśmy sobie takie drewniane korytka. Deski na korytka robiliśmy siekierą, tartaków nie było. Niektórzy nawet porobili sobie w korytkach

przegródki na zupę i kaszę. Korytka uszczelnialiśmy chlebem, który doskonale nadawał się do tego celu - był jak glina. Również łyżkę robiliśmy z drewna. W zrobieniu naczyń do jedzenia, niektórzy mieli spore trudności. Ja natomiast uporałem się z tym bez większego trudu, ponieważ miałem rzeźbiarską smykałkę.

Zaczęli pędzić nas do roboty. My nie dawaliśmy się. Nie mogli nas zorganizować, zeszło im nad tym ponad miesiąc. Było im trudno opanować sytuację nad kilkunastotysięczną grupą więźniów. W podobny sposób jak ja, kombinowało wielu. Po zapisaniu się do jednego brygadzysty, wieczorem chyłkiem uciekłem do drugiego baraku. Brygadzysta z drugiego baraku nie zaczepiał mnie, ponieważ należałem do innej brygady. W jednym baraku było po kilka brygad.

Po miesiącu trwania takiej sytuacji, nocą zrobili alarm, tzw. podjom. Wystawili nas na plac, gdzie odbyła się "prowierka". Zorganizowali brygady. Brygadziści spisali nas. Po ustaleniu brygad, już nigdzie nie wypuścili nas, nawet na śniadanie.

Na bramie rozdano nam siekiery i piły, a następnie wysłano do lasu. Do lasu prowadzili nas pod konwojem. W lesie pracowało się po dwóch.

Nigdy nie pracując dotychczas, zupełnie nie miałem pojęcia o tej robocie. Lasy północne charakteryzują się tym, iż na drzewach znajdują się wielkie śnieżne czapki. Gdy stuknąłem siekierą w drzewo, natychmiast pokryła mnie ogromna czapka śniegu. Ze zdenerwowania i złości rzuciłem siekierę. Przybiegł konwojent, który nakazał mi podnieść siekierę. Chciał zmusić mnie do roboty, lecz byłem uparty. Siekiery

nie podniosłem, pomimo że groził mi bagnetem, Na koniec odprowadził mnie daleko od ogniska i postawił mnie na baczność. Bagnetem obrysował wokół moich butów kwadrat. Kwadrat przylegał ściśle do butów, nie było nawet centymetra luzu. Pogroził, że jeżeli zrobię krok w lewo lub w prawo, będzie strzelać. Mróz był czterdziesto- pięćdziesięciostopniowy. Podskakiwałem trochę tylko w momentach, gdy konwojent odwrócił ode mnie uwagę. Gdyby dostrzegł najmniejszy ruch, na pewno strzeliłby bez zawahania.

Gdy nadszedł fajrant, odprowadzili nas do obozu. Szedłem na samym końcu brygady, pilnowany szczególnie. Brygadę wpuszczono do obozu, a mnie zostawili na zewnątrz. Gdy przyszedł naczelnik, zostałem ukarany karcerem. Karcer to obóz w obozie.

Karcer znajdował się na zewnątrz koło wartowni. Zbudowany był z okrągłych belek, pomiędzy którymi pozostawione były trzy- czterocentymetrowe szpary, aby dobrze wiało. Również ściany były podniesione trochę wyżej w celu zapewnienia lepszego przewiewu. Takie same szpary były również w podłodze. W tych czterech ścianach nie było zupełnie nic, nawet pieca.

Gdy znalazłem się w karcerze, przez całą noc nie było mowy o spaniu czy siedzeniu. Jeżeli usiadłbym, zamarzyłbym na śmierć. Trzeba było biegać. Od czasu do czasu chwilę odpoczywałem i znów biegałem.

W karcerze było nas kilku. Do karceru wysyłano za bójki, kradzieże, za karty i wiele innych przewinień.

Rano otwarto drzwi i dano nam trzysta gramów chleba - "gliny" i ciepłej wody, zwanej "kipiatok". Trzysta gramów tego ciężkiego jak glina chleba, jest odpowiednikiem naszej

cieniutkiej kromki.

Zaczęli ponownie wysyłać mnie do roboty. Odpowiedziałem, że na robotę położyłem lagę. Chcieli zabrać mnie siłą. Uparłem się jednak i do roboty nie poszedłem. Pomyślałem, że zamiast stać bez ruchu na mrozie w lesie, w obrysowanym kwadracie, lepiej tańczyć z zimna w karcerze. Mój bunt był instynktowny, nie wiedziałem o istniejących przepisach, iż małoletnich nie wolno brać do lasu i wyznaczać im normy.

Około południa przyjechała komisja z ministerstwa z Moskwy. Naczelnik, nadskakując i schlebując, biegiem oprowadzał po barakach, kuchni. Wyglądając przez szpary w ścianie, widziałem jak komisja zaglądała we wszystkie kąty obozu. Przyszli również do karceru. Postawili nas na baczność. Wypytywali wszystkich po kolei, za co siedzą w karcerze.

- Za co?
- W karty grałem.
- Nie wolno grać!

Innego więźnia, który ukradł coś z kuchni:

- Za co?
- Ukradłem.
- Nie wolno kraść!

Według podobnego schematu przebiegała rozmowa wszystkich więźniów z komisją. Zapytali w końcu i mnie:

- Za co?
- Odmówiłem pracy.
- Co, taki młody i już odmawiasz pracy! Dlaczego?
- Bo u nas są i tacy, którzy przed wojną byli drwalami.

I nawet oni nie są w stanie wykonać normy. Również ja, tym bardziej nie mogę wykonać wyznaczonej normy. Jak nie wykonam normy, dostanę trzysta gramów chleba - tyle samo, co w karcerze. Po co więc mam pracować!

- A ile masz lat?

- Szesnaście.

Wówczas przedstawiciel komisji zwrócił się do naczelnika obozu:

- Czyżbyś nie znał Stalinowskiej konstytucji, w myśl której niepełnoletnich nie wolno dawać do pracy z wyznaczoną normą i nie wolno wsadzać ich do karceru?

- Nie wiedziałem, że on jest małoletni! - odpowiedział naczelnik.

- Od czego jesteś naczelnikiem, że tego nie wiedziałeś!

Przedstawiciel komisji polecił mi opuścić karcer:

- Uciekaj!

Z karceru wyskoczyłem niczym torpeda. Po chwili jednak zatrzymał mnie, kazał zaczekać.

- Głodny jesteś? - zapytał.

- W karcerze jeść nie dają - odpowiedziałem.

To był chyba jakiś ludzki człowiek. Zaprowadził mnie tam, gdzie porcjowali chleb. "Chleborezce", tzn. temu, który kroił chleb, polecił aby dać mi chleba. Był nim Chińczyk. Gdy spojrzał na mnie, nawet nie pytał, ile chleba dać. Podał mi cały bochenek. Bochenki były ogromne, ważyły cztery lub cztery i pół kilograma.

Następnie poszliśmy do kuchni. Zapytał kucharza:

- Co masz do jedzenia?



- Kaszę.

- Daj mu kaszy! - polecił naczelnik z Moskwy.

Kucharz nawet nie pytał, czy mam swoje korytko lub kociołek. Kaszynakładł mi do swojego kociołka. Kociołki były zrobione z puszek do konserw, mieli je tylko zasłużeni Rosjanie. Kociołka już mu nie oddałem. Od tej pory jadałem w kociołku.

Nakoniec przedstawiciel komisji dał mi radę:

- Jeżeli kiedyś naczelnik znowu cię wyśle do lasu do pracy na normę lub do karceru, napisz na niego zażalenie.

Nie wiedział on, że jestem Polakiem. Być może miał swoje dzieci i dlatego ruszyło go sumienie?

W obozie było aż dziewięć rodzajów posiłków. Ten najlepszy był taki, że pies mój nie chciałby tego jeść. Cóż więc dopiero mówić o najgorszym rodzaju! Numer kotła przyznawano na podstawie zasług, wykonania pracy. Jako małeletni dostałem siódmy kociołek. Dziewiąty kociołek był przeznaczony dla tych, którzy wykonywali ponad dwieście procent normy - dla tzw. sachanowców. Z ósmego kotła dostawali "mniejsi sachanowcy". Siódmy przeznaczony był specjalnie dla małeletnich - jedzenie to było lepsze, niż dla tych, którzy wykonali sto procent normy. Bez względu na to, co robiłem, czy też nie robiłem nic, jadałem z siódmego kotła.

Od pracy wykręcałem się. Byli tam za słabo zorganizowani, aby wychwycić mnie podobnych i popędzić do roboty.

Kręciłem się po całym obozie. Było nas takich kilku. Niektórzy z nich to: Dziedzic z Warszawy, Wilk, Kłoda Stasiek z Kryłowa na Lubelszczyźnie. Zacząłem podrabiać talony na żywność. Jedzenie było sprawą przeżycia, a więc i zajęcia swego nie uważałem za grzech.

Ładobałem kociołki na jedzenie, które następnie  
ciąłem na małe blaszki. Na blaszkach podrabiałem żetony,  
takie same, jak wydawali na zupę czy kaszę. Talony nie były  
skomplikowane: w trójkącie wybita była litera "L", żadnych  
cyfr nie było. Dziennie robiłem sto - sto pięćdziesiąt sztuk  
talonów. Podrobionymi talonami handlowaliśmy. Sprzedawaliśmy  
je najczęściej za machorkę. Rosjanie nigdy nie mogli doliczyć  
się: ilość faktycznie wydanych talonów nigdy nie odpowiadała  
liczbie talonów zebranych. Co kilku dniach mieli już dwukrot-  
nie więcej talonów. O fałszerstwo podejrzewali właśnie nas.  
Mówili, iż do takich rzeczy mogą być zdolni tylko "Polaczki".

Chcieli nas przyłapać. Przed samym otwarciem okienka  
dobili w trójkącie gwiazdkę. Gdy zorientowałem się, że talo-  
ny są zmienione, nakazałem kolegom, aby natychmiast zebrali  
sprzedane przez nas talony. Każdy wiedział, komu sprzedał,  
więc talony szybko powróciły do mnie. W gwoździu zrobiłem  
gwiazdkę, którą następnie wybiłem na talonach. Tak poprawione  
żetony powróciły do naszych nabywców. Nasze żetony znowu nie  
różniły się niczym od żetonów prawdziwych. Wielokrotnie Ros-  
janie próbowali różnych swoich sztuczek, aby nas przyłapać,  
lecz nie udało się to im nigdy. W ostatniej chwili poprawiałem  
nasze żetony, aby odpowiadały swoim wyglądem żetonom obozowym.  
Nie przyłapano nas nigdy.

Nigdzie nie pracowałem, obijałem się po całym obozie.  
Naczelnikowi schodziłem z oczu. Gdybym wpadł, od razu zapędził-  
by mnie do jakiejś roboty. Kiedy zauważałem naczelnika wcho-  
dzącego do obozu, natychmiast ukrywałem się w najodleglejszych  
kątach obozu. Pewnego razu zagapiłem się jednak i wpadłem  
wprost na naczelnika. Naczelnik zatrzymał mnie:

- Co ty robisz?

Zacząłem kręcić:

- Nakuchni drzewo rąbię, wodę noszę.

Była to nieprawda i naczelnik świetnie o tym wiedział. Na kuchnię dostawali się najbardziej uprzywilejowani. Tylko najbardziej uprzywilejowani mogli rąbać drzewo czy nosić wodę. Pomagając w kuchni, zawsze można było dostać trochę jedzenia. Wodociągu w obozie nie było, wodę nosiło się ze strumyka, z przerębli.

- O, tak to nie może być. U nas każdy musi mieć swoje funkcje.

Naczelnik przez chwilę myślał, po czym kazał mi iść ze sobą. Zaprowadził mnie do biura "nariadczyka". "Nariadczyk" był władzą roboczą w obozie, zarządcą robót, kierownikiem. Kierownikiem robót była Rosjanka, Anna Michajewna. Obawiałem się, że zostałem tam przyprowadzony w celu przydzielenia mnie do jakiejś roboty. A tymczasem naczelnik zwrócił się do kobiety:

- Anno Michajewna, masz tutaj małolatka. Będzie u ciebie gniewalnym.

"Gniewalny" był gońcem, takim woźnym. Anna Michajewna popatrzyła na mnie aprobowująco. Pomyślałem, że to całkiem niezła funkcja. Pracując jako goniec, poradzę sobie z dalszym fałszowaniem talonów na żywność.

Anna Michajewna była dobrym, serdecznym człowiekiem. Powiedziała, co mam robić. Od razu zabrałem się solidnie do roboty. Biuro doprowadziłem do takiego stanu, iż tak porządnie nie miała nawet w swoim domu. W biurze nic nie było malowane, wszędzie były gołedesi. Podłogi, drzwi, okna,

ławę i stoły wyszorowałem do białości. Porządnie wyczyściłem w piecu. Rosjanie, będąc z natury swej niechlajami i flejtuchami, nawet nie mieli pojęcia o takich porządkach. Kobieta patrzyła z podziwem na elegancko wysprzątane biuro.

Zaprowadziła mnie do magazynu, gdzie otrzymałem nowe ubranie. Od tej pory chodziłem w nowych fufajkach. Na jedzenie prowadziła mnie do siebie do domu. Dawała mi pieczone bliny; oni też nic innego nie jedli.

Poszliśmy do sklepu. To nie był sklep dla więźniów, lecz dla NKWD-dzistów. Tam przedstawiła mnie jako swojego gońca:

- On tu będzie przychodził z mojego polecenia. Dawaj mu wszystko i zapisuj.

A do mnie powiedziała:

- Jak będziesz potrzebował machorki i zapalek, możesz brać. Co tylko chcesz, bierz. Pieniądzy mam dużo.

Urzeczności Anny Michajewny starałem się nie nadużywać. Jednak machorkę i zapaliki brałem. Czasami dla kolegów brałem chleb.

Zapytała, gdzie śpię. Kazała mi przenieść się z baraku do biura.

- Zrobisz sobie legowiskokoło pieca. W piecu będziesz sobie palił i będzie ci ciepło - powiedziała.

W całym biurze nie było ani jednego papieru. Pisało się na deskach. Na deskach prowadziło się ewidencję więźniów. Na deskach robiłem jej rubryki. Wkrótce nauczyłem się pisać i sam zapisywałem. Wykonywałem całą biurową robotę za nią. Później Anna Michajewna nie robiła nic. Wszystkie dane zbierałem

u brygadzystów i zapisywałem w rubrykach. Po dwóch dniach dane Ścierało się szkiełkiem . Nie było to więc aż takie ważne, czy zapisuję dobrze, czy źle. Co to za robota była, komu to było potrzebne? Nie mam pojęcia. Ważne, że ewidencja była prowadzona.

Mąż Anny był pół-Tataram i pół-Kazachem. Stale siedział na wieżycy i pilnował. Później, gdy zżyłem się już z Anną, wołała mnie na śniadanie. Smażyła bliny i karmiła mnie jako pierwszego. Mężowi, który schodził zmarznięty ze służby, kazała czekać, aż najem się do syta. Gdy już nie chciałem jeść, tupiała nogami i kazała jeść dalej. Mężem nie przejmowała się.

Z roboty byłem zadowolony. U Anny najadałem się do syta. Z czasem zrezygnowałem ze swego talonu na siódmy kocioł, oddając go kólegom.

Pod pretekstem, że sam nie poradzę napiłkować drzewa, chciałem wziąć do pomocy kolegów.

- Bierz, ilu chcesz - pozwoliła Anna Michajewna.

Dobrałem sobie czterech kolegów. Z nimi siadaliśmy na moim legowisku za piecém i graliśmy w karty - uważając jedynie, aby nie przyszedł naczelnik. Kart do gry nie było. Sam je zrobiłem z tekturek.

W obozie był "wyspitatel", politruk obozowy. To była groźna postać, nawet naczelnik czuł przed nim respekt. To był komsomolec, młody chłopak, jednak jego głos liczył się o wiele bardziej aniżeli głos naczelnika. Naczelnik bał się go. Politruk mógł każdemu dopisać tyle wyroku, ile chciał. Naczelnika w ogóle nie bał się. Tym, którzy odsiedzieli swoje wyroki, natychmiast dopisywał następny wyrok. Politruk przyczynił się wielu

więźniom, iż siedzieli znacznie dłużej, niż wynikałoby to z ich pierwotnego wyroku. Do politruka nie wolno było zwracać się jako do "Towarzysza", należało mówić "obywatelu" (rosyjskie "grażdanin"). Podlegała mu Świetlica, w której prowadził kulturalną robotę, zajmując się propagandą polityczną. Po powrocie z roboty w lesie raczej nikt nie myślał o pójściu do Świetlicy, nikt nie miał na to sił. Jednak Świetlica w obozie musiała być.

Walęszając się z nudów po obozie, zauważyłem, jak politruk malował jakieś hasło na tablicy. Ta robota najwyraźniej mu nie szła. Napis był źle rozmieszczony, na desce zabrakło miejsca na pięć liter.

Mając zdolności malarsko-rzeźbiarskie, zapragnąłem trochę pomalować sobie. Poprosiłem go, aby pozwolił mi skończyć. Początkowo nie chciał się zgodzić, nakazując mi wynosić się stamtąd.

- Już inni całe wiadro farby mi zepsuli. Wynos się i ty!

- Kiedy mam wielką chęć pomalować.

Napis na desce nie wyszedł mu. Ze wściekłością rzucił pędzlem o deskę. W końcu zgodził się, abym sam pomalował hasło.

- Napiszcie mi na kartce, co mam napisać. - Politruk napisał mi. - A teraz dajcie mi gazetę - poprosiłem.

- A na co tobie gazeta?

- Bo litery polskie znam, ale rosyjskich nie. Aby dobrać odpowiedni kształt liter, muszę przyglądać się na litery w gazecie.

Politruk dał mi gazetę. Było już co skręcać przez dłuższy czas.

"Wyspitatel" nie pokazywał się przez tydzień. Przez ten czas pomalowałem tło. Odpowiednio rozmieściłem litery,

nadając im właściwy kształt. Ponieważ nie zjawiał się, zacząłem litery przyozdabiać. Najpierw zrobiłem cienie. Gdy nadal politruk nie przychodził, ciągle coś dorysowywałem - jakieś kreseczki i kropeczki. Napis wyglądał bardzo elegancko, niczym całkiem dobry szyld.

Kiedy w końcu politruk przyszedł, zadziwił się nad moją pracą:

- Toż lepszego artysty nie ma w całej Moskwie! Czy to ty sam zrobiłeś?

- Oczywiście, że ja sam.

Politruk zdjął mnie z dotychczasowej funkcji, biorąc do świetlicy. Sprzeciwiłem się:

- Nie pójdę. Mnie tu naczelnik postawił.

- A co tam naczelnik! Idziesz teraz do mnie do roboty i - bez dyskusji!

Pomyślałem, że to już koniec blin, sklepu i wszystkich dotychczasowych luksusów. Lecz cóż, z tym draniem nie mogłem zadrzeć, w obawie że mógłby dopisać mi następny wyrok. Miałem zasądzone pięć lat. Dopisałby mi nawet jeszcze piętnaście lat i miałbym dwadzieścia lat wyroku.

Zrezygnowany usiadłem na pryczy. Przyszła Anna Michajewna. Błagałem, aby mnie ratowała.

- A co on ma do ludzi! Ja tutaj rządzę ludźmi. - Anna. zabrała mnie z powrotem do swojego biura.

Za chwilę przyszedł naczelnik z politrukiem. Oznajmił, że Anna Michajewna ma sobie wybrać nowego gonca, a ja nadaję się do świetlicy. Zdezorientowany z przerażeniem patrzyłem na Annę, która kazała mi iść:

- Idź, idź! I tak zaraz wrócisz.

Poszedłem do Świetlicy. Za chwilę Anna Michajewna przyszła do świetlicy i przetrząsała moje rzeczy z powrotem do siebie.

W tym czasie, gdy mnie zabrali do Świetlicy, Anna zadzwoniła do głównego naczelnika całego obozu. My byliśmy w czwartym łagrze. Główny łagier był pierwszy. Anna znała się dobrze z głównym naczelnikiem pierwszego łagru. Dzięki niemu załatwiła moje przeniesienie ponownie do siebie.

Tak długo darli się i wojowali o mnie, że w końcu przenieśli Annę do innego obozu - chyba piątego lub siódmego, dokładnie już nie pamiętam. Anna nie była więźniem. Ona była wolna.

Co pozbyciu się Anny, polityruk zabrał mnie do siebie. Zapytał, czy Anna Michajewna dawała mi coś do jedzenia. Polityruk prowadził kawalerskie życie. Stołował się u kucharza, który gotował mu specjalnie. Zaprowadził mnie na kuchnię. Tam przedstawił mnie jako przewodniczącego Świetlicy "Czerwony Wilk". Robiąc mnie przewodniczącym, uczynił ze mnie wielką szycę.

Szefem kuchni był łagiernik, radziecki Ukrainiec z Charkowa. Ukrainiec był zaciętym wrogiem Polaków. Polityruk zwrócił się do niego:

- Wiem, że lepiej jesz ode mnie. Jeżeli zobaczę, że on gorzej je od ciebie, to mnie popamiętasz.

Od tej pory miałem jadać jeszcze lepiej od szefa kuchni. Szef, który zawsze źle nas traktował, patrzył na mnie ze wściekłością. Jednak bojąc się polityruka, niczemu nie sprzeciwiał się.



Później politruk zapytał o sklep. Obawiałem się, że strasznie sobie pogorszyłem swój byt za sprawą malowania. A tymczasem politruk wcale nie chciał być gorszy od Anny. Gdy znaleźliśmy się w sklepie, sklepikarzowi powiedział to samo, co niegdyś mówiła Anna. Nadal więc brałem ze sklepu machorkę, chleb i to, co chciałem.

Posunął się nawet dalej od Anny. Zlustrował moje ubranie; fufajki miałem nowe, od Anny. Zaprowadził mnie jednak do warsztatu szewskiego. Szewcu nakazał wziąć miarę na kozaki dla mnie:

- A skórę skąd? - zapytał szewc.

- A czy ja pytam się ciebie, skąd codziennie jesteś pijany? A ty pytasz, skąd masz wziąć skórę! Jak chcesz, zrobią tak, że już nigdy w życiu nie będziesz pijany! - pogroził szewcu.

- W porządku, zrobię - szewc spotulniał.

Następnego dnia rano moje buty były już gotowe. Nie było nic dziwnego w tak błyskawicznym tempie wykonania butów, ponieważ w warsztacie pracowało wielu ludzi.

Politruk poszedł ze mną do krawca, gdzie również kazał wziąć miarę na ubranie dla mnie. Także u krawca powtórzyła się historia z pytaniami: "skąd materiał?" i "za co pijesz?". Ubranie uszyli mi z szarego płótna, takiego jak nasze mundury harcercskie. Uszyli mi bluzę z wysokim kołnierzem, zapinaną na guziki - taką "rubaszkę". Było już lato, tuż przed amnestią.

U czapnika kazał mi zrobić czapkę - taką moskiewską furażkę.

Ubrany od stóp do głów przez politruka, wyglądałem

elegancko, zupełnie inaczej niż wszyscy obdarci więźniowie. Po zwolnieniu z łagru, nawet Rosjanie na ulicy wskazywali na mnie palcem i mówili:

- Patrz, idzie syn naczelnika!

Od roboty nie wymigiwałem się. Z dużym zapalem odmalowałem wszystkie hasła, tablice przy bramie, szyldy z napisami: kuchnia, łaźnia, lekarz, szewc itd. Rysowałem również karykatury. W krótkim czasie obóz nabrał zupełnie innego wyglądu.

Kiedy wykonałem już wszystkie szyldy, przyjechała na kontrolę komisja z Moskwy - ta sama, która niegdyś wybawiła mnie od karceru. Widząc napisy, zainteresowali się, kto to wszystko zrobił. Kazali przyprowadzić mnie. Komendanci biegali po całym obozie, usiłując mnie odszukać - bali się moskiewskich naczelników. Znaleźli mnie w końcu w kryjówce, gdzie grałem w karty.

Naczelnik z Moskwy rozpoznał mnie. Przypomniał sobie, że wyciągnął mnie z karceru. Zganił naszego naczelnika:

- Widzisz, ty go posłałeś do lasu na normę, do karceru wsadziłeś, a on zrobił ci najpiękniejszy łagier.

Komisja była zachwycona szyldami.

Moskiewski naczelnik zapytał mnie o nazwisko, Gdy usłyszał, powiedział:

- To rosyjskie brzmienie. Rosjanin?

- Nie, Polak!

- To niemożliwe! Sachar to rosyjskie nazwisko.

- Nie, jestem Polakiem.

- To na pewno ojciec lub dziad byli Rosjanami! - nie ustępował w dalszym ciągu.

- Ojciec i dziadek byli Polakami! Dziadek za cara trzykrotnie wywożony był na Syberię.

- Na pewno tylko tak mówili, że są Polakami, a w rzeczywistości byli Rosjanami. Powiedz przynajmniej ty, że jesteś Rosjaninem!

- Nie mogę mówić, że jestem Rosjaninem, będąc Polakiem - odpowiedziałem bez wahania.

- Sam podpiszę twoje zwolnienie, jeśli tylko powiesz, że jesteś nasz.

Namawiał mnie tak z godzinę, nle mogąc niczego osiągnąć. Dla Polaków nie było żadnych zwolnień z obozu. Mogli mnie zwolnić wyłącznie jako Rosjanina. Gdybym wtedy zgodził się na ten układ, wątpię czy teraz miałbym taką konkurencję w Warszawie. Automatycznie byłbym Sowiećów.

¶ Kiedy podjęto decyzję, że mam malować w pierwszym obozie, przyszedł do mnie naczelnik i tak mi poradził:

- Nie bądź durny. Nie zgódź się, aby przenieśli cię do pierwszego obozu. Niech codziennie cię tam dowożą i przywożą z powroćem.

¶ Pozostałem nadal w czwartym obozie, a do głównego obozu jeździłem malować szyldy.

¶ Wkrótce wyszła amnestia. ¶ Nasze zwolnienie przyjechała ta sama komisja z Moskwy. ¶ dy opuszczaliśmy obóz, wszystkich zwolnionych rewidowali NKWD-dziści. ¶ Kiedy i mnie chcieli rewidować, mój znajomy naczelnik z Moskwy, powiedział że nie trzeba. ¶ awołał mnie na bok i zapytał, co będę robić.

- Wstąpię do armii - odpowiedziałem.

- Oj, głupcze! Po co ci iść do armii! Czy wiesz, że jest wojna!

- Właśnie dlatego, że jest wojna, idę do armii.

- Słuchaj starego, przeżyłem dwie wojny. Przecież przepadniesz!

- To przepadnę, lecz do armii pójdę - odparłem.

- Lepiej zostań tutaj. Będziesz wolnym robotnikiem! Wyślemy cię do szkoły, wstąpisz do komsomołu - po raz drugi otrzymałem od niego propozycję pójścia do szkoły.

Upierałem się jednak stanowczo przy swojej decyzji. Naczelnik życzył mi wszystkiego najlepszego. Wyszedłem z obozu.

To była końcówka mego pobytu w obozie, kiedy to tak niewiarygodnie powiodło mi się. Być może dzięki temu mogłem przeżyć?

.....

Rzeczywiste warunki życia innych jeńców w łagrze zdecydowanie odbiegały od przedstawionej tutaj mojej sielanki.

Najtragiczniejszy w obozie był głód i wszv.

Ludzie z głodu puchli. Cera starych, pięćdziesięciosześcioletnich mężczyzn, wyglądała jak u małego dziecka. Skóra była naciągnięta i napuchnięta. Ludzie do tego stopnia puchli, że w spodniach pękały szwy.

Najgorszy był szkorbut i awitaminoza. Zęby latały. Po ciele robiły się głębokie, nie gojące się rany, przeważnie na nogach. Nazywali to cyngą. Prawie każdy cierpiał na tę chorobę. Dawali na to jakiś kwasek z kiszzonego igliwia. Było

to takie wstrętne, iż nawet najgłodniejsi nie chcieli wziąć tego do ust.

wszy były normalnością. Od wesz nie można było obronić się. Były wprawdzie łaźnie i pomieszczenia do odwszawiania. Odwszawiano w bunkrze, w którym od spodu palono do wysokiej temperatury, a drzwi zalepiano gliną. Po takim odwszawieniu na ubraniach ginęły wszy, lecz gnidy pozostawały nadal. Pod wpływem wysokich temperatur, gnidy rozwijały się o wiele szybciej niż przed odwszawianiem. Odwszawianie nie przynosiło żadnego pożytku.

"egarka nikt nie miał. Każdy musiał pracować od nocy do nocy. Zimą była noc bez przerwy. Przez miesiąc, może dłużej, w ogóle nie było dnia. W lecie z kolei były białe noce. Do roboty szło się ciemną nocą i wracało ciemną nocą. Gdy brygady wracały z roboty, "topiły się" w baraku. Ludzie ze zmarznięcia i zmęczenia nie mogli poruszyć ręką i nogą. Dzienna norma na jednego więźnia wynosiła siedemnaście metrów sześciennych drzewa. Niewielu tylko było w stanie tak wysoką normę wykonać. Wśród Rosjan bywali "sachanowcy". Dzięki dwustuprocentowej normie dostawali więcej chleba, lepszą zupę i kaszę. Polacy jednak nie mogli wykonać tak zawyżonej normy. Za niewykonanie normy dostawało się tyle chleba, jak podczas pobytu w karczerze.

Nie było absolutnie żadnych szans ucieczki. Przed ucieczką zabezpieczało palisadowe ogrodzenie, silnie strzeżone przez uzbrojonych strażników. Poza tym tereny były nie zaludnione, pokryte śniegiem. Człowiek idąc, musiał zostawiać za sobą ślad. Trzech więźniów próbowało uciekać. Ich ucieczka była oczywiście nieudana, wkrótce zostali złapani.

Życia w znaczeniu ruchu w obozie nie było. Każdy był przygaszony. Na niektórych więźniów aż litość brała patrzeć. Wyglądali żałośnie, zasuszeni na kość. Nazywaliśmy ich z rosyjska "dochadziagami". Wiadomo było, że za dzień lub dwa dojdą do kresu swego życia. Było ich pełno.

W pogrzeby nikt nie bawił się. Na żadnym pogrzebie osobiście nie byłem. Wiem, że była specjalna grupa ludzi, zajmująca się wywożeniem zwłok więźniów z obozu do lasu. Myślę, iż zimą grobów nie kopano, gdyż ziemia zamarzała bardzo głęboko. Na pewno nikt nie bawił się w składywanie trupów gdzieś na terenie obozu i ich zakopywanie dopiero wówczas, gdy puszczały mrozy. Najprawdopodobniej zwłoki były rzucone w śnieg, a następnie zasypywane śniegiem.

Namiastką opieki lekarskiej był lekarz, Polak. Nazywał się Nowakowski. Nowakowski to kawał drania i kolaborant. Niczego dobrego nie mogę o nim powiedzieć. Mogę jeszcze dodać, że gdybym dziś go spotkał, z satysfakcją rozwalilibym mu głowę. Tak, jak Nowakowski traktował chorych, sądzę iż nawet kapo na Majdanku łagodniej obchodził się z ludźmi. Draństwo Nowakowskiego było tak dalece posunięte, iż gdy nas wypuscili, agitował ludzi, aby zostawali na tych terenach do pracy. Na gabinet lekarza wydzielony był barak, tzw. bolnica, lecz wbrew nazwie nie był to szpital. Do tego baraku przynoszono ludzi już w ostateczności. Jeżeli ktoś stracił przytomność i upadł, przynoszono go do baraku. Chory przeleżał dwa - trzy dni w baraku i z powrotem wyrzucali go do lasu do roboty. Leczyć nie było czym, nie mieli leków. Spirytus, który Nowakowski dostawał jako środek leczniczy, przepijał z naczelnikiem. Tam nikt nie przejmował się ludźmi.

W naszym podobozie, tj. w obozie czwartym, było kilka tysięcy więźniów. Więźniowie byli bardzo wielu narodowości, rzekłbym - wszystkich narodowości. Spotykało się Japończyków i Chińczyków, Amerykanów i Niemców. Z terytorium ZSRR byli więźniowie wszystkich narodowości, ze wszystkich republik. Mieli nawet jakiegoś Eskimosa.

Eskimosa traktowano jak zwierzę. Nie nadawał się do żadnej roboty. Siedział bosy pod kuchnią. Mydło, gdy znalazł, to zjadł. Ci, którzy brali kąpiel, deptali po nim, a Eskimos nadal siedział pod okienkiem kuchni. Nie chodził nawet nigdzie do baraku. "A co takiego zamknęli?! Nie wiem. Nawet trudno było nazwać go człowiekiem, przecież on zupełnie nic nie rozumiał!

Polaków było dużo, lecz trudno mi powiedzieć, czy stanowiliśmy większość obozową. Polaków stale dowozili. Więc może później, gdy było nas bardzo wielu, rzeczywiście stanowiliśmy większość? Pewności jednak nie mam.

Polacy uważani byli za najgorszą kategorię. Szydzono z nas, że jesteśmy "polskimi panami". Często dochodziło do sprzeczek pomiędzy nami i rosyjskimi więźniami. Kiedyś wywiązała się taka rozmowa:

- Ilu was jest w Polsce?

- Trzydzieści sześć milionów - odpowiedziałem.

- E, co to za naród! U nas w samych więzieniach siedzi czterdzieści milionów.

- Nie machaj ręką. Pomimo niewielkiej swej liczebności, daliśmy wam niezłą nauczkę w 1920 roku! Dostało się wam dobrze, gdy Piłsudski Kijów zajął.

- Co ty wiesz, co ty wiesz o tym. Jesteś młody, niczego

nie widziałeś. A ja widziałem, jak chodzą Polacy - wykrzyknął, pokazując nasz defiladowy krok - a później to uciekali.

- To prawda, wtedy uciekali. Ale później, jak was Piłsudski nakopał pod Warszawy, wy uciekaliście.

Dyskusja była burzliwa. Rosjanin odpierał wszystkie moje argumenty, rwał się do bicia. Skaśnie z powodu Piłsudskiego klóbiłem się najczęściej. Rosjanie nie lubili, gdy im wytykałem ich porażkę z Piłsudskim w latach 1918 - 1920.

Na ogół Polacy nie byli lubiani. Niektórzy nawet starali się z nami rozmawiać, jednak dzięki sowieckiej propagandzie, mieli całkowicie wypaczony obraz Polaków. Niedys dobrze mi znajomy Rosjanin zapytał:

- Czy to prawda, że w Polsce polski pan idąc, gdy zobaczy dziecko, łapie je za nogi i rozbija o róg budynku?

Przypadki stawiania tak absurdalnych pytań były częste. Z niektórymi rosyjskimi więźniami współżycie układało się całkiem nieźle. Jednak, uogólniając: Rosjanie nie lubili nas.

Jeśli chodzi o stosunek nadzoru obozowego do polskich więźniów, było rzeczą oczywistą, iż NKWD-dziści nie mogą nawet znieść naszego widoku.

.....